

Pewne wydarzenia utrwalają się w pamięci ze szczególną wyrazistością. Nie stanowią one ani „granicznych słupów”, ani daleko idących konsekwencji. Po prostu czasami się przypominają ...

Byłem uczniem liceum, na ferie wielkanocne przyjechałem do domu. Pogoda na święta zapowiadała się piękna, słoneczna i ciepła. Warta w tym roku wystąpiła wyjątkowo obficie. Błonia, aż po horyzont, zalane były wodą, tworząc wielką taflę rozlewiska, z którego tylko gdzieniegdzie sterczały bezlistne sylwetki drzew. Zapragnąłem zobaczyć słońce, wschodzące nad tym bezmiarem wody. Wstałem przed świtem. Przy topolach, rosnących u stóp wzgórz, stanowiących granicę rozlewiska, stały rybackie łódki. Płynąłem, by znaleźć się jak najdalej od brzegu. Nie potrafię opisać co działo się z niebem i wodą od strony wschodzącego słońca. Byłem zafascynowany, gdy nagle powietrze zdrząło od dźwięku trąbek, puzonów, werbli. Oniemiałem ze zdziwienia. Na odległej o dobry kilometr górze, wokół widocznego jak na dłoni kościoła, roił się tłum procesji. We wstającym słońcu połyskiwały trąby strażackiej orkiestry. Słychać było dzwonki ministrantów. Przez wielki obszar wody niósł się dźwięk, jakby wszystko działo się tuż obok. Sam jeden – punkcik na olbrzymiej płaszczyźnie wody, siedziałem urzeczony i tylko łódka, puszczone wolno, kołysała się leciutko, z burty na burtę.

W dworku na Posoce, w dużym pokoju, który kiedyś pełnił rolę salonu, stał wielki fotel, pamiętający czasy antenatów. W pobliżu stało radio. Jeden z programów radiowych w poniedziałki, w godzinach wieczornych, nadawał muzykę symfoniczną. Program zapowiadał koncert skrzypcowy Beethovena. Usiadłem wygodnie w fotelu, by w pełni oddać się muzyce. Oczy błędziły po stojących sprzętach. Za oknem przeleciał ptak. Co to za ptak? – chyba dzięcioł, nie, sójka. Dźwięki skrzypiec zlewały się z kolorem zasłon okiennych. Nie potrafiłem się skupić. Zamknąłem oczy. Nic z tego! Jak skończy się koncert, wyjdę z psem na spacer. Koncert brzmiał gdzieś obok. Zmusiłem się do śledzenia dźwięków. Wtuliłem się w oparcie fotela. Coraz bliżej oplatała mnie struktura koncertu. I stała się rzecz dziwna, odniosłem wrażenie, że fotel rozrasta się, staje się wielki, zagarnia mnie w swoje pluszowe oparcie, a ja maleję i wnika we mnie coś, co trudno nazwać dźwiękiem. Może jakaś jednoczesna suma dźwięków. Jakaś niezbyt uświadomiona fala? Jeden, jedyny raz odebrałem w ten sposób dzieło muzyczne.

W sierpniu 2004 roku wybraliśmy się z przyjaciółmi do Berlina na okrzychaną wystawę amerykańską MoMa (Museum of Modern art.). Tłumy ludzi. Przeleciałem kolejne sale. Jak zawsze uroczy Bonnard, „Katedra” Matisa, której nie znałem. Brakowało mi amerykańskich super realistów, było tylko dwóch. Ogółem, wystawa mocno przereklamowana. Umówiłem się z resztą towarzystwa i poszedłem do znajdującego się obok muzeum starych mistrzów. Moich Rembrantów, Halsów, Holendrów, wczesnych Niemców ... Zatrzymywałem się przy znanych dziełach. W pewnym momencie moją uwagę przykuł obraz o świetlnych barwach, wysmakowanej

równowadze plam barwnych, czystej i klarownej kompozycji. Jakaś słoneczna wizja. Skąd tu, w siedzibie starych mistrzów, impresjonista? Podeszedłem bliżej. Plamy barwne zaczęły przybierać kształty półnagich ciał, rozwiewały się włosy, części ubiorów, przeświecało niebo. To był Rubens. Jeden z jego mitologicznych tematów. A ja wziąłem Rubensa za impresjonistę.

Ostatnie autoportrety Rembranta przedstawiają starca, a przecież zmarł mając zaledwie 63 lata. Muzeum w Kolonii jest w posiadaniu jednego z tych ostatnich autoportretów. Z obrazu patrzy na mnie stary, mądry człowiek, pełen dobrotliwej ironii i kpiny, w przymrużonych oczach. Coraz częściej z nim rozmawiam.

Jan Sznajder